



Alicja

Roman Honet

ALICJA

a. epilog

od wczoraj nie mam robaków. szron trzeszczy,
szeleści w drzewach ten stanowczy mówca,
niewiadomego pochodzenia, cicho.
mam wypłukany żołądek, kiedy przedstawiam jej agrest
i kwiat – otwarte, gorzkie naczynia.
nie mam robaków, a jakbyśmy widzieli się
w innym wymiarze, sączyli inną przestrzeń
przez miętowe szklanki. wczoraj – mówi
i przekrzywia głowę jak błysk
rudej łyżki. tutaj, o piętro niżej, kiedy w deszczu
roztapiały się sylwetki kobiet – tamta śmierć
z mlecznymi warkoczami śluzu w oczach.
to było. zamglone szyby przylepione do krawężników,
te wszystkie miejsca pobielone,
pochłapane wapnem

[całopalne ofiary z pokrzyw]

całopalne ofiary z pokrzyw,
brązowych fotografii o twarzach
pełnych potu i wielkich liter.
pryzma cegieł, na której mały
chłopiec oślepia lalkę coraz
starszej siostry. zawsze o tej
porze głośne trzeszczenie lokomotyw,
chude kobiety idące wzdłuż
torów. jeszcze rozgrzane
powietrze, duszący pył na cienkim
negatywie słońca, śmiech rozkrzewiony
w mózgu – szaleństwo i śmiech

celan, wytrwały luty

siedem miesięcy i trzy dni – czas rozmazany
jak srebro na szklanych płytkach, na których
prześwietlono cyfry i twarze. podobno,
że carroll fotografował nagie dziewczynki,
że rok czternasty o mgłach z porcelany.
a kaiser wilhelm nie pamiętał o tym.
czy ty wiesz, że zwariował od iskier i pszczół?
czy wiesz, że umarli wracają jak łupiny ziemniaków?
bezludne lazarety, jakby szkielet jaszczurki
wiruje w palcach szklany nożyk

i w łupiny powraca czas

pozorne asocjacje

tej jesieni przegrzane powietrze
wypaliło na chodnikach swój tłusty,
czerwony emblemat. szedłem coraz szybciej,
ścigany przez konstrukcje kabrioletów
i aeroplany pulsujące jak włochate
motyle. mijało południe – na wystawach grzały się
krępe butelki wermutu, a włoski papież
machał ręką, bo muchy w tym roku były
wyjątkowo dokuczliwe. potrącany
przez mężczyzn w sepiowych garniturach,
zadbane kobiety, dzieci blade jak robaki
wylazące z jabłek przed finalnymi
skokami, nie mówiłem nic. za chwilę
siedziałem już na żółtym prześcieradle,
za słaby, aby wstać i pójść dokądkolwiek,
choć polski papież natarczywie
machał ręką, a za oknem roztapiały się
dachy tramwajów

[przyciśnięta do poduszki głowa pęcznieje]

przyciśnięta do poduszki głowa pęcznieje
jak guz. chciałoby się zgasić, stłamsić tę noc.

tymczasem nadchodzące sny są o umarłych,
z którymi nie rozmawialiśmy od lat

list do j.l.

słyszę jeszcze, jak skrzypi papier:
na ścieżkach zardzewiałe rowery, słodka, gęsta rdza
w płucach. zapach oliwy płynący
z jaskrawych okien, uprawianie
miłości i miód

grafit powtarzający zawilości liter,
kobiety, które przychodzą tu śmiać się i krwawić.
(jakie to szczęście, że nie jestem wdową w tej sukni
ani w tym małym kościele)

błogosławione: żarliwy greff valentin,
światliste dna butelek, eutanazja dla chorych
na liczenie dat, przestrzeń i czas

teraz mógłbym darować ci to wszystko,
gdybym posiadał choć strzęp lub nawet pamięć

córki karstenów

córki karstenów o łydkach jak koślawe, pergaminowe berła,
gdy emigrują razem ze zwierzętami,
pod powieką unosząc płomień – miękki,
ślepy fundament. nie mówią
o eszelonach obleczonych zmarszczoną skórą, przechowywaniu
ostrężyn w butlach cieńszych od światła,
aż sok zapieczętuje kosmatą krtań. pozostaje im święto
zamierzchłe od lat –
zbierać miód w czasie miodu,
gromadzić popiół na czas gromadzenia,
zmarłych pogrzebać

miasto, którego nie ma

a jednak wróciłaś do tego miasta,
o sercu rdzawo nakreślonym przez ostrza
bagnetów. tam kruche sanatorium czeka
na podróżnych, wychodzących zza drzew

w niemodnych płaszczach. a jednak
wróciłaś, z zegarkiem, nad którym
trudził się umarły grawer, z kolanami
wypełnionymi wodą. (po asfalcie

ślizgają się kobiety niosące
dzwon, i wróciłaś, naprawdę
zgniłe liście, i mroźny wiatr

wieje)

Książka dostępna w księgarni

